

Podmoskowie, 16:56, 21.02.2013

Poprawiłem płaszcz i spróbowałem usadowić się wygodniej na tylnej kanapie szarego audi. Prowadził Andriej, pewnie, z niewielką dawką nonszalancji, ignorując ograniczenia prędkości, ale nie porzucając zdrowego rozsądku. Auto, choć niebędące bynajmniej najnowszym modelem, było czyste i zadbane - najwyraźniej właściciel bardzo o nie dbał, chuchając i dmuchając na każdą, nawet najmniejszą, ryskę. Ponownie uniosłem się na siedzeniu, wyrównałem zwijającą się na plecach warstwę materiału, a potem spróbowałem znaleźć trochę więcej miejsca dla nóg. Dobrze byłoby się teraz przespać z godzinkę, organizm potrzebował odskoczni od emocji, jakie przyniosła ostatnia doba, bolała mnie głowa, bolało stłuczone kolano, bolała i dusza. W ustach czułem metaliczny posmak. Za stary już na to jestem, pomyślałem. Za stary. Co mi przyszło...

Opuściłem głowę na pierś, przymknąłem oczy, spróbowałem odepchnąć od siebie ból, skupić tylko na bodźcach zewnętrznych. Z przodu urywana rozmowa Andrieja i Saszy, uspokajający dźwięk równo pracującego silnika, w głośnikach ciche gitary, głos któregoś ze starych rockmanów - czyżby Fish? - z tyłu mój własny oddech, rytmiczne uderzenia serca. Ciepło, klimatyzacja ogrzała wnętrze samochodu w ciągu kwadransa. Spać, rozkazałem sobie. Spać, spać...

Moskwa - Metro Taganskaja, 18:12,
19.02.2013

Na ruchomych schodach przeszył mnie lodowaty podmuch wiatru. Boleśnie powoli wypełzałem na powierzchnię, ściśnięty w tłumie anonimowych współtowarzyszy podróży wagonami moskiewskiego metra. Dotarłem do szczytu schodów, opędziłem się od szczerbatego łachmaniarza i ruszyłem nieśpiesznie w kierunku domu. Na Tagance mieszkalem dopiero trzeci miesiąc, ale drogę miałem wpisaną już, jak to mówią, w autopilota. Najpierw kilkaset metrów wąskim chodniczkiem, między rzędami bloków mieszkalnych. Później pasy, przejście przez ulicę, kolejna ćwierć kilometra wzdłuż

ogrodzenia mojego osiedla. Wreszcie, szósta po lewej klatka, kodowe zamki przy furtce i wewnętrznych drzwiach, kamery i uprzejmi, wąsaci ochroniarze. Wcześniej, oczywiście, wizyta w markecie, kupno czegoś do jedzenia - mogłem zjeść najgorsze gówna, byle dało się je szybko i łatwo rozgrzać w mikrofalówce. Ciekawa sprawa, będąc jeszcze w Zonie, zaklinałem się, że po powrocie będę jadł jak król. Tymczasem, moja dieta składała się w głównej mierze z pizzy, chińszczyzny i alkoholu.

Właśnie, przypomniałem sobie, muszę jeszcze kupić coś na rozgrzewkę. Do kolacji trzy... może cztery piwka, potem ćwiartka, na spokojny sen. Jak co wieczór.

Dwa pełne obroty klucza w zamku i drzwi do mieszkania stanęły otworem. Przekroczyłem próg, zamknąłem za sobą, brzęczącą szklą reklamówkę postawiłem na podłodze, a płaszcz rzuciłem niedbale do szafy. Nie zdejmując nawet butów, otworzyłem pierwszą butelkę i chwile przyssałem się do szyjki. Po kilku łykach usiadłem ciężko na szafce w przedpokoju i zapatrzyłem się w ścianę. ku*wa, jak mi to już wszystko zbrzydło... Niby miałem wszystko, o czym tylko mogłem marzyć: służbowe mieszkanie w dobrej dzielnicy, wysoką pensję, a na niezależnym od moich mocodawców koncie, okrąglą sumkę, za którą mógłbym uciec na drugi koniec świata i dostаточно się tam urządzić. A jednak wciąż czegoś brakowało, z każdym kolejnym dniem czułem coraz paskudniejszą pustkę i bezsens. Po raz pierwszy w życiu czułem się samotny.

Pusta butelka uderzyła miękko o wykładzinę, odcoczyła się pod ścianę. Wstałem z westchnieniem, wziąłem kolejną i poszedłem do kuchni. W lodówce znalazłem jakieś marne resztki wczorajszego obiadu, po odgrzaniu nie miały absolutnie żadnego smaku, ale mimo wszystko zaspokajały głód. Zjadłem szybko, przepijając kolejne kęsy piwem. Przeniosłem się do salonu, siadłem na parapecie. Szczególnie polubiłem to właśnie miejsce - szeroki, drewniany parapet, tuż przy oknie, z którego roztaczał się widok na Moskwę, szarą, brudną i zimną. Całe mieszkanie było urządzone z gustem, FSB nie żałowało pieniędzy na swoich konsultantów, ale pozo-

stałe pomieszczenia swoim przepychem przypominały mi tylko o tym, że lokum nie należy do mnie. Salon, przeciwnie, stał się moją enklawą, zaś ów parapet, jej centralnym punktem. To na nim spędzałem większość wieczorów, powoli nasączałem się piwem i rozmyślając, tylko po to, by później dobić się wódką i zasnąć ciężkim, niedającym wytchnienia snem bez snów.

Najgorszym, co może cię spotkać w życiu, jest obudzenie się ze świadomością, że twoje życie już dawno stanęło w miejscu, a ty nie potrafisz wyrwać się z tego marazmu. To właśnie powiedział mi mój ojciec, niedługo przed swoją śmiercią. Dopiero teraz, po wielu latach, zaczynałem rozumieć, co chciał mi przekazać. Z każdym kolejnym wieczorem sens jego słów stawał się dla mnie coraz boleśniej wyraźny, a z każdym kolejnym łykiem coraz bardziej chciało mi się wyć.

Od roku moim życiem rządziła pasywność. Dwa ostatnie miesiące w Zonie spędziłem siedząc bezpiecznie na zapleczu Baru, nadzorując transporty artefaktów za kordon. Któregoś dnia otworzyłem oczy z przekonaniem, że już nie dam rady wyjść w Strefę. Nie dam - i już. Nie wiem, co się stało, wysiadły mi nerwy, czy też dostałem znak od matuszki Zony, nie wiem. Jako bliski współpracownik Barmana, mogłem liczyć na jego pomoc, facet był bardziej wpływowy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Zgodził się zorganizować transport przez granicę, jednak pod jednym warunkiem: zgodzę się na współpracę z "wiadomymi organami". Miało to przynieść korzyści wszystkim, a mnie szczególnie. Być może wcześniej bym odmówił, teraz tylko wzruszyłem ramionami. Wszystko, byle uciec z tego przekłętego miejsca.

Lew towarzyszył mi od pierwszych minut spędzonych w Zonie. Razem zostaliśmy przeszmuglowani przez wojskowy kordon, w milczeniu przeciskaliśmy się przez dziurę w zasiekach, popędzani przez śmierzdzącego potem i nikotyną przewodnika. Mężczyzna zniknął, gdy oddaliliśmy się o kilkaset metrów od granicy, zostawiając nas zdanych tylko na siebie. Popatrzyliśmy po sobie, to ja pierwszy wyciągnąłem do niego dłoń.

- Foma - powiedziałem tylko.

- Lew - odrzekł, ściskając moją prawicę.

Ruszyłem przodem, przedzierając się przez gęste krzaki, i wcale nie czułem się zagrożony. No, może przez pierwsze kilka godzin - tak. Ale potem już nie. Przez następne, długie trzynaście miesięcy. Lew stał mi się niczym brat. Razem zaczynaliśmy, uczyliśmy się przeżycia w Strefie, razem głodowaliśmy, gdy zabrakło pieniędzy. Przeżyliśmy tę zabawną przygodę, gdy nieopodal Skadowska znaleźliśmy trupa w naukowym kombinezonie. Wreszcie, płacąc za to własną krwią i potem, wspólnie wypracowaliśmy sobie w Zonie pozycję, zdobyliśmy uznanie i szacunek, zaczęliśmy zarabiać prawdziwe pieniądze. A potem wszystko trafił szlag. Te dwa miesiące, które spędziłem w grubych murach baru 100 Radów bardzo nas od siebie oddaliły. Lew nadal chodził w Zonę, teraz już sam. Jako doświadczony łowca mógł sobie pozwolić na samodzielne wypadki, świetnie wyposażony, opanowany i śmiertelnie niebezpieczny. Zawsze był lepszym stalkerem ode mnie, musiałem to przyznać. A jednak to właśnie ja przewodziłem naszej parze. Sam nie wiem, co o tym zadecydowało, może fakt, że wtedy, pierwszego dnia, to ja ruszyłem przodem. Lew milcząco zaakceptował moje przywództwo, choć nie wahał się oponować, gdy któryś z moich pomysłów mu się nie spodobał.

O swoim wyjeździe poinformowałem go już po rozmowie z Barmanem. Skinął tylko głową - nigdy nie mówił dużo - i wyciągnął do mnie dłoń. Ucisnąłem ją, mocno, w milczeniu, bo i co miałem powiedzieć. Odwróciłem się i odszedłem, by następnego wieczora opuścić Strefę na pace wojskowej ciężarówki. Nie widziałem go już więcej.

Następne miesiące minęły mi w kolejnych, coraz to bardziej tajnych ośrodkach Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Z początku byłem traktowany niczym więzień, przesłuchiowano mnie, wielokrotnie zadając te same pytania o moje życie w Zonie. Później nadeszła kolej na szkolenia, najwyraźniej wierzchuszka uznała, że doświadczenia stalkera Fomy Pietrowicza mogą być wartościowe dla interesów Federacji. W końcu wręczono mi klucze do mieszkania na Tagance i kopertę z pokaźną premią motywacyjną, zaznaczając mimochodem, że nie wolno mi opusz-

czać granic miasta Moskwa. Oficjalnie byłem właścicielem niewielkiej firmy, zajmującej się sprzedażą i montażem urządzeń monitorujących. Nieoficjalnie, przez pięć dni w tygodniu śleczalem w małym gabinecie, w ponurym budynku, znajdującym się przy ulicy o nazwie znanej w całej Europie Wschodniej: Bolszaja Łubianka. Przekopywałem się przez sterty wojskowych raportów z Zony, uzupełniając je o swoje komentarze. Jako człowiek, który przeżył w tym piekle ponad rok, mogłem wnieść na prawdę wiele w schematy operujących w Strefie Wykluczenia rosyjskich sił specjalnych. Traktowano mnie z szacunkiem, a moje uwagi zawsze brano pod uwagę przy planowaniu kolejnych zadań. Mimo tego, że robiłem coś bez wątpienia pożytecznego, czułem tę cholerną pustkę. Tak, jak źle było mi w Zonie, tak i czułem się poza jej niewidzialnymi granicami.

Moje rozmyślania przerwał dźwięk dzwoniącego telefonu. Niewiele, bardzo niewiele osób miało mój numer, dlatego od razu stałem się czujny. Zeskoczyłem z parapetu, odstawiłem butelkę na szafkę i szybkim krokiem ruszyłem do przedpokoju; telefon musiał zostać w kieszeni płaszcza. Spojrzałem na wyświetlacz, nie znałem numeru. Odebrałem, rzucając do słuchawki szorstkie "Tak?". Rozmówca miał lekko zachrypnięty, niski głos. Nie przedstawił się, od razu przeszedł do rzeczy.

– Od Barmana. Lew nie żyje. Rozstrzelany przez pluton egzekucyjny Powinności, ciało powieszzone na drzewie przy południowym wejściu do Baru. Przesyłam zdjęcie. Przyczyna aresztowania i egzekucji nieznana, Barman przypuszcza że ma to związek z twoją współpracą z FSB. Możliwe że w grę wchodzi ingerencja SBU. Barman prosi o kontakt.

Klik. Przerwane połączenie. W chwilę później pojedynczy sygnał, odebrano wiadomość obrazkową, czy chcesz wyświetlić? Ciało Lwa, zawieszone na linie, okropnie skrwawione, klatka piersiowa w strzępach. Szyja okolona grubym sznurem, ciągnącym się gdzieś w górę, poza kadr. Głowa pod nienaturalnym kątem, twarz wykrzywiona w grymasie, oczy otwarte, usta też. Wybita ze stawu żuchwa, spłaszczony od ciosów nos. Krew.

Wolno, bardzo wolno odkładałem telefon na półkę. Czuję jak wali mi serce. Niezgrabnym, sztywnym krokiem kieruję się do kuchni. Otwieram zamrażarkę, wydaję butelkę wódki, zrywam korek, ciągnę kilka długich łyków.

Lew nie żyje.

Lodowata wódka mrozi zęby i pali przełyk, gorącą falą uderza w ściany żołądka, gorzka gula podchodzi do gardła.

Rozstrzelany.

W oczach mrocznieje, padam na ziemię, boleśnie tłukę kolanem o płytki posadzki. Zaraz odchylam głowę, leję w siebie kolejną porcję alkoholu.

Widzę jego mętne, martwe spojrzenie. Puste oczy patrzą na mnie z dna butelki, rozpaczliwie łykam palący płyn, chcąc uciec od czającego się w nich wyrzutu. Czekam na wódczane zapomnienie, czekam, aż odpłynę w alkoholowy mrok, czekam na niego, jak na zbawienie. Czekam...

Tanganka, 09:24, 20.02.2013

Obudziły mnie mdłości. Leżałem na podłodze w kuchni, w kałuży wody, wyciekającej z otwartych drzwiczek zamrażarki. Głowa pękała, gdy tylko spróbowałem się poruszyć, kolano zakłuło ostrym, przenikliwym bólem. Zawlokłem się do łazienki, klęknąłem przy sedesie i zwymiotowałem. Gdy już przestały mną wstrząsać spazmy, wszedłem pod prysznic, tak jak stałem, w ubraniu. Strugi zimnej wody spłynęły po moim ciele, zacząłem drzeć, ale nie zakręciłem kurka. Stałem tak kilka minut, skupiając się na fizycznym dyskomforcie, odwołując moment, w którym będę musiał zebrać się w sobie i wrócić myślami do wczorajszego wieczoru. W końcu wyszedłem z kabiny i z trudem zdjąłem przemoczone ubranie. Wycierając się szorstkim ręcznikiem zacząłem układać w głowie plan działania. Wiedziałem, że tylko w ten sposób mogę pokonać pragnienie odpłynięcia po raz kolejny w alkoholowy mrok.

Po pierwsze, co powiedział mi kontakt Barmana. SBU śledzące moją współpracę z FSB,

tak, to możliwe. Pojawienie się Zony znacząco wzmocniło pozycję Ukrainy na arenie międzynarodowej, wzrok całego świata skierował się na to niebogate państewko we wschodniej Europie. Decydenci uznali, że oto nadeszła wspólna okazja, by całkowicie uniezależnić się od potężnego sąsiada ze wschodu. Więzy z Federacją Rosyjską gwałtownie zerwano, odrzucono propozycje pomocy w okiełznaniu nieznanego nauce zjawiska, skierowano się za to ku zachodowi, który chętnie pompował w podupadły kraj pieniądze, w zamian za możliwość badania cudów Strefy. Jednocześnie, Ukraina postawiła ultimatum: Zona leży na naszym terytorium, więc na jej terenie mogą przebywać tylko nasze wojska. W ten sposób zapewniła sobie pełną kontrolę nad dostępem do niej, co było posunięciem tyleż mądrym, co ryzykownym, biorąc pod uwagę śmiertelnie niebezpieczną naturę Strefy. Utrzymanie jej w ryzach własnymi siłami mogło okazać się zbyt trudnym zadaniem dla ukraińskich sił zbrojnych, jednak póki co odnosiły one niemałe sukcesy w walce z szalejącymi tam wynaturzeniami.

Oczywiście, do Zony przenikali wszelkiej maści najemnicy na usługach zainteresowanych nią państw, a także zorganizowane grupy, między innymi te, dowodzone przez Centrum Specjalnego Przeznaczenia FSB, słynne oddziały specnazu: Alfa i Wypieł. Bardzo możliwe, że próbowała je powstrzymać Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, pytanie tylko, jakim sposobem na celowniku znaleźliśmy się ja i Lew. Czyżby ktoś przypuszczał, że mój przyjaciel także współpracuje z rosyjskimi siłami specjalnymi? Potrafiłem zrozumieć, dlaczego to on stał się pierwszym celem, wiedziałem, że znajduję się pod dyskretną, ale nieustanną ochroną FSB, z jednej strony dbającej o moje bezpieczeństwo, z drugiej - mającej mnie zatrzymać, gdybym jednak postanowił zniknąć z Moskwy. Zona była miejscem, w którym ludzie codziennie tracili życie, coś prostszego, niż zabić jednego stalkera. Z drugiej strony, może Barman się mylił i tajne służby nie stały za śmiercią Lwa?

Nie wiem. Tutaj na pewno się tego nie dowiem, pomyślałem. Muszę wydostać się z miasta, wrócić do Zony. Poza chęcią odkrycia prawdy, kierowała mną żądza zemsty. Znajdę ludzi, którzy

go zabili i własnoręcznie posłę do grobu. Inaczej nigdy nie odnajdę spokoju.

Tuż przed moim wyjazdem ze Strefy, Barman wyjaśnił mi, czemu chce, bym podjął współpracę ze Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Okazało się, że jest ona jednym z głównych kupców artefaktów, przez co pozostaje w ścisłej współpracy z siatką handlarzy działających w Zonie. Handlarze chcieli mieć wewnątrz organizacji swojego człowieka, który będzie miał oczy i uszy otwarte na wszystkie wartościowe informacje. Jako że przez kilka miesięcy pracy u Barmana zdobyłem jego zaufanie, jawiłem się jako doskonały kandydat na to stanowisko. Kusila także pokaźna suma, jaką mi zaoferowano za podjęcie się tego zadania. Zgodziłem się, ryzykując niebezpieczną zabawę w kotka i myszkę z ludźmi nieskończenie bardziej ode mnie doświadczonymi w takich rozgrywkach. Ustaliliśmy bezpieczny kanał, za pomocą którego miałem się z nim kontaktować, oczywiście tylko w razie absolutnej konieczności. Nadeszła pora, by sprawdzić, czy ludzie Barmana będą w stanie porwać mnie sprzed nosa agentów FSB.

Z szafki w salonie wyciągnąłem komórkę, tani, pozbawiony jakichkolwiek gadżetów model sam-sunga. W portfelu nosiłem kartę sim, jak dotąd ani razu nieużytą. Wyłamałem ją z ramki, włożyłem do telefonu, uruchomiłem urządzenie. Wstukałem wyuczony na pamięć numer, nacisnąłem zieloną słuchawkę. Odczekałem trzy sygnały, przerwałem połączenie. Kartę połamałem, telefon zaś cisnąłem przez okno. Mieszkanie znajdowało się na dziesiątym piętrze, nie było szansy, by aparat wytrzymał spotkanie z ziemią.

Samo zalogowanie się telefonu do systemu operatora było sygnałem, uruchamiającym szereg akcji, w efekcie których mieli do mnie dotrzeć współpracownicy handlarzy. Cóż, niedługo się przekonam, co z tego wyjdzie, pomyślałem.

Ubrałem się, wybierając jak najwygodniejsze i najpraktyczniejsze odzienie. Przez chwilę wahałem się nad zabraniem ze sobą broni, leżący w szufladzie Heckler&Koch kusił swoją zabójczą skutecznością. W końcu odrzuciłem ten pomysł, więcej byłoby z nim zmartwień niż pożytku. Do kieszeni spodni wsunąłem zawczasu przy-

gotowany zwitek pieniędzy, głównie hrywien i dolarów. W końcu, zadowolony z poczynionych przygotowań, usiadłem na parapecie i spojrzałem w dół, na buro-śnieżną Moskwę.

Dwie godziny później, jak gdyby nigdy nic, do moich drzwi zapukało dwóch postawnych mężczyzn, którzy przedstawili się jako Andriej i Sasza, po czym zaprosili mnie do zaparkowanego pod klatką szarego audi.

Kijów, Ukraina, 07:12, 22.02.2013

– E, stalker, obudź się. Jesteśmy na miejscu. To Andriej potrząsnął mnie lekko za ramię. Otworzyłem oczy, spojrzałem na zegarek. Spałem prawie dziesięć godzin, co ciekawe, nie obudzono mnie nawet przy przekraczaniu rosyjsko-ukraińskiej granicy. Wyglądało na to, że Barman był człowiekiem o wiele bardziej wpływowym, niż przypuszczałem.

– Jesteśmy - powtórzył kierowca. - Kijów. Wysiadka.

Wysiadłem z samochodu, poprawiłem płaszcz i zlustrowałem spojrzeniem okolicę, w której się znaleźliśmy. Osiedle niskich, szarych domków jednorodzinnych, zatrzymaliśmy się na podjeździe przed jednym z nich.

– W środku czekają ludzie, którzy przetransportują cię do Strefy - poinformował Sasza, opierający się o maskę samochodu.

– Nasza robota jest już skończona.

– Nic nie pozostaje, tylko życzyć ci powodzenia – dodał Andriej. Podziękowałem skinieniem głowy.

Mężczyźni wsiedli do wozu, Andriej uruchomił silnik i ruszył ostro, bluzgając spod kół mieszaniną błota i śniegu. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: wracam do Zony.

Wracam.

Wracam.